

Dorota Bidzińska, Modny Drobiazg

Tekst został opublikowany w Tygodniku Powszechnym nr 12 (3428), 22 marca 2015

Kiedy dowiedziała się, że osiedlowy dom kultury stracił lokal, uszyła mu nowe schronienie – wielki spódnico-namiot. Ze znienawidzonych topornych budynków, które wyrosły przed jej oknem, zrobiła stateczek unoszący się na wodzie. A pewnego dnia chwyciła za nitki i tamborek i nabazgrane hasła z murów i klatek schodowych wyhaftowała na słodkich makatkach. Monika Drożyńska skończyła krakowską ASP. Mieszka i tworzy w Krakowie, ale nie lubi, kiedy mówi się o niej „krakowska artystka.”

- Dużo podróżuję. Nie czuję się związana z żadnym miejscem. Jeśli już, to z Gorlicami – miastem mojego dzieciństwa. Gdybym już koniecznie musiała być „jakąś” artystką, to chyba najbardziej czuję się artystką gorlicką. Kiedy w swojej pracowni założyła wypożyczalnię sukienek, nazwała ją tak, jak butik z gorlickiego osiedla, na którym się wychowywała – Modny Drobiazg. Jako dziecko niemal codziennie mijała szyld z inicjałami „MD” – jak Monika Drożyńska.

– Myślałam, że Modny Drobiazg to ja.
– I jaki był ten modny drobiazg?
– Sklep?
– Nie, ty.
– Byłam strojnisią. Mam kilka takich wspomnień. Pamiętam, jak siedziałam u babci, czekałam na powrót mamy, która obiecała, że coś mi przywiezie, i marzyłam, żeby to były szelki w gwiazdki. Bardzo, bardzo chciałam mieć szelki w gwiazdki. Albo jak wracałam ze szkoły, przebierałam się w kolorowe legginsy, na to zakładałam kostium kąpielowy, na głowę opaskę, włączałam muzykę i tak wystrojona robiłam aerobik.

Mówi o sobie fashion victim. Ma 140 par butów, kocha modę vintage.

- Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie absolutnie wstrząsające buty robiło się kiedyś – mówi, pokazując bordowe skórzane kozaki na wysokim obcasie, jedną z par ze swojej kolekcji.
- One bardzo często miały metalowe fleki i te metalowe fleki są zupełnie nie do zderzenia. Ale co ważne, to jak się idzie w tych metalowych flekach, to się po prostu wybija rytm dla całej ulicy – uśmiecha się. Usta ma pomalowane pomarańczową szminką, która kontrastuje z niebieskością jej oczu.

Na studiach zaczęła szyc i przerabiać ubrania, po studiach założyła sklep Punkt, gdzie sprzedawała zaprojektowane przez siebie ciuchy i dodatki. Po zamknięciu Punktu zostało jej trochę sukienek. Dołożyła jeszcze kilka ze swojej vintage'owej kolekcji i rozkręciła wypożyczalnię.

– Chcę, żeby ludzie mnie tu odwiedzali. Nie tylko znajomi. Sukienkę może pożyczyć każdy, włożyć na imprezę, oddać. Tylko żeby jej nie zarzygać i nie zeszmacić. Wiszą na wieszaku pod ścianą: zamaszyste, kraciaste spódnice, sukienki z regularnymi, okrągłymi dziurami, pomarańczowo-zielona z wyhaftowanym na plecach: „Polka męczennica.” Nad nimi wielka tkanina malowana w barwne zwierzęta. Na środku kula ziemiska pilnie strzeżona przez

małpkę i potwora, do której ławicami płyną różnobarwne homary, ryby-miecze, chrząszcze i stonki. To wspólne dzieło Moniki i jej pięcioletniego syna Tymona.

– Modny Drobiazg to nie tylko wypożyczalnia sukienek. To też szkoła haftu dla pań i panów „Złote rączki”, którą tutaj prowadzę, to to miejsce, to ja.

Uszyj Dom Kultury

O problemach lokalowych Domu Kultury na Woli Duchackiej dowiedziała się z gazety. Wymyśliła, by wspólnie z mieszkańcami uszyć wielką spódnicę z różnych ubrań. Każdy mógł podarować od siebie ubranie, za którym kryje się jego wspomnienie, historia, emocje; albo po prostu coś, co zalega mu w szafie. Artystka przez pół roku przyjeżdżała do osiedlowego Domu Kultury i szła razem z innymi. Pomagała jej pani Maria z Klubu Seniorów, Maks i Jaro – gospodarze miejsca; czasem ktoś zajrzał zobaczyć, co się dzieje, trochę pomógł, a trochę posnuł się po kątach; czasem Monika wychodziła na balkon, gwizdała i wołała kręcące się na dworze dzieciaki. Wiosną, w finale projektu, ubrana w pstrokatą spódnicę artystka zawisała na grubych linach.

– Wisiałam, z dołu przyglądali mi się z lekką rezerwą mieszkańcy osiedla. Czy uczestniczyli w tym razem ze mną? Czy wspólne działanie ich zjednoczyło? Szycie, oprócz solidarności, pokazało też, że coś tu nie gra. Jakby ta kultura przyszła z zewnątrz, jak nieproszony, panoszący się gość.

– Czy Dom Kultury dostał nowy lokal?

– Nie zrozum mnie źle. Nie jestem aktywistką, nie zrobiłam tego po to, żeby zmieniać rzeczywistość.

Jej prace nie tyle mają zmienić świat, co uczynić go trochę bardziej znośnym. Tak jak „łódź/boat”: kiedy widok z okna w jej mieszkaniu przysłoniły toporne budynki, okleiła barierki balkonu wielkoformatowym zdjęciem morza.

– Widok morza zasłonił wszystko, czego nie chciałam widzieć, a to co zostało, nazwałam łodzią i cały czas liczę, że odpłynie.

Wyhaftuj się

Przez okno wpadają promienie słońca. Odbijają się od białego blatu. Monika wysypuje na stół serwetki. Na jednej z nich, w otoczeniu świerkowych gałązek i złocistych gwiazdek, równym ściegiem wyhaftowała napis: „Mam dość”. Na innej, łańcuszkiem: „W życiu liczy się lans i dobry wygląd”. Na jeszcze innej, wśród krzyżykowych serduszek: „Atrakcje dla turystów, eksmisje dla mieszkańców”. Wszystkie te hasła znalazła gdzieś nabazgrane na murach. Fotografowała je, gromadziła. Potem przepisała po swojemu. Haftując.

– Nie wyszywam, ale haftuję. Lubię dwuznaczność tego słowa. Haftowanie uważam za zajęcie polityczne. Zwłaszcza wtedy, kiedy pojawia się w przestrzeni publicznej, zdominowanej przez białego heteroseksualnego mężczyznę.

Te hasła oddała z powrotem ulicy. W oswojonej formie. W Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Legnicy i Opolu na multimedialnych ekranach pojawiły się jej hafty – co miesiąc inny. Tak powstał miejski kalendarz. Miał być zabawny, trochę ironiczny. Nie wszyscy jednak tę ironię zrozumieli. Kiedy w lutym pojawił się haft z okolonym baziami napisem „Zimo wypierdalaj” na artystkę posypały się gromy. Główny zarzut: że promuje wulgaryzm w przestrzeni publicznej,

i to za rządowe pieniądze (projekt realizowała ze stypendium Ministra Kultury). Dostawała pełne bluzgów maile od obrońców czystości języka polskiego i moralności.

Monika rozwija na stole białe płótna z fragmentami libretta „Halki”, które miały towarzyszyć premierze spektaklu w reżyserii Natalii Korczakowskiej w Teatrze Wielkim Opery Narodowej. Na jednym z nich słowom „Z odpustu ludu siła” towarzyszą loga jednej z sieci marketów, ułożone w symetryczny ornament.

– Firma napisała do mnie z żądaniem, żebym usunęła ten motyw z projektu, bo inaczej wytoczą mi proces. To byłby precedens: hafciarka pozwana przez sieć sklepów wielkogabarytowych.

Na makatce z napisem „Jakoś tak dziwno w tym wielkim mieście / Jakoś tak straszno wiejskiej niewieście!” pojawiają się czerwone gwiazdy oraz sierpy i młoty. Słowa: „On rzekł: Mieć muszę! / I spojrzał raz i jegoś ty” zostały wpisane w nadgryzione jabłko budzące jednoznaczne skojarzenie ze znanym producentem sprzętu komputerowego. Bez wyjaśnienia przyczyn Opera wycofała się ze współpracy.

W projekcie „Wyhaftuj się” haft służył do wylewania frustracji. „Bezsilność, głupota, lenistwo, Facebook” – odcyfrowuję gęsto usiane ściegi. Na kawałku tkaniny każdy może wyhaftować to, co go złości. Od 2010 wyhaftowało się blisko 1,5 tysiąca osób. Pojawiają się napisy w języku tureckim, węgierskim, słowackim, czeskim, niemieckim, polskim, francuskim, angielskim, japońskim, rumuńskim, słoweńskim i greckim.

– Chciałabym, żeby tych haftów było tyle, aby stały się nieczytelne. Aby pojedyncze utonęły w morzu frustracji i powstała abstrakcyjna tkanina.

Złote rączki

Raz na jakiś czas w Modnym Drobiazgu robi się tłoczno. Na podłodze i stole lądują kawałki tkanin i kolorowe nitki. Monika Drożyńska prowadzi szkołę haftu ręcznego na tkaninie dla Pań i Panów „Złote rączki”.

– Utrzymuję się z robienia sztuki, co oznacza, że jestem zależna od pieniędzy ze stypendiów. Chciałam rozkręcić coś swojego. Jedną z rzeczy, które potrafię robić naprawdę dobrze, jest haftowanie. Stąd pomysł.

Niedawno odbyły się tu warsztaty z haftowania aktu męskiego.

– Pomysł się spodobał, znaleźli się chętni, znalazłam modela. Przyszedłam wcześniej przygotować pomieszczenie. Najpierw wyniosłam stół, żeby zrobić więcej miejsca. Ale potem pomyślałam, że ten pokój jest taki mały. Z jednej strony ten chłopak, z drugiej grupa haftujących. Wniosłam stół z powrotem – może model trochę się za nim schowa – opowiada. Przez chwilę milczy i dodaje:

– Czujesz stres, mimo że wiesz, że tego chcesz, że innym też się to podoba. A potem, gdy to już siedzieje, stres znika i przychodzi błogość. Że to jest ze mnie. Że to ja taka jestem.